

KAZIMIERZ KUMANIECKI: *AUGUST**

Podczas jednej z moich przygodnych, zapewne dla załatwienia jakiejś konkretnej sprawy podjętych wizyt w mieszkaniu państwa Kumanieckich na Sewerynowie profesor powiedział mi, że właśnie dostał od pewnego kolegi francuskiego jego świeżo wydaną książkę o Mecenasiu. Nie zapamiętałem wtedy, co to było; dziś można to zidentyfikować jedynie jako monografię Jeana-Marie André (*Mécène, essai de biographie spirituelle*, Les Belles Lettres, Paris 1967). Zarazem też powstawało, zdaje się, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku coś w rodzaju mody na fikcyjne pamiętnikarstwo antyczne po słynnych (tłumaczonych i na polski) *Pamiętnikach Hadriana* Marguerite de Yourcenar; u nas ich pokłosiem były zapewne świetne książki Jacka Bocheńskiego *Boski Juliusz* i *Nazo poeta*. Profesor dodał:

– To bardzo dobra książka, ale ja napiszę lepszą, bo ja mam ciekawszego bohatera.

Spytałem, czy bohaterem tym będzie Horacy.

– Nie – odpowiedział profesor – to będzie August.

Nigdy już nie wróciliśmy do tej przygodnej rozmowy, być może nawet, że o niej całkowicie zapomniałem. Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych dowiedziałem się, że rzecz była pisana i choć nie została ukończona, kilkadziesiąt początkowych stron rękopisu istnieje. Wkrótce miałem też okazję obejrzeć w zbiorach specjalnych Biblioteki Narodowej na placu Krasieńskich sam rękopis, a nawet część jej przeczytać. Odtąd rzecz nie dawała mi spokoju. Jakoś mi trudno było pogodzić się z tym, żeby jej żywot pozostał na zawsze tylko archiwalny. Niedawno podzieliłem się swoją rozterką z redaktorem „Meandra” i oto sprawy ciąg dalszy.

Juliusz Domański

W idy styczniowe
(= 13 stycznia r. 13 n.e.)

Do Rzymu przybyłem niedługo po kalendarzach styczniowych nowego roku za konsulatu Publiusza Serwiliusza i Lucjusza Antoniusza (= r. 41). Zrazu wszystko układało się nie najgorzej: Lepidus, którego knowań się lękałem, zachowywał się spokojnie i lojalnie; rola jego zresztą, chociaż był triumwirem, była niemal żadna. Wszystkim rządziła Fulwia ufna w to, że jest żoną jednego triumwira, a świekrą drugiego, to znaczy moją (Klaudia, jej córka, była moją żoną). Oczywiście we wszystkim ulegał jej brat Marka Antoniusza, Lucjusz, który wówczas sprawował konsulatus. Dziwnie zarozumiał był to człowiek. Chociaż odbyte triumfu nad ludami alpejskimi (nigdy tam żadnego zwycięstwa nie odniósł) zawdzięczał jedynie

* Autograf niedokończonej powieści Kazimierza Kumanieckiego *August* znajduje się w rękopisie BN akc. 16561. Bardzo dziękujemy za udostępnienie tego rękopisu Bibliotece Narodowej i osobście pani Agnieszce Fabiańskiej. Za zgodę na druk dziękujemy wnuczce autora, pani dr Agnieszce Kumanieckiej-Wiśniewskiej. Cały tekst – którego mniej więcej siódmą część tu zamieszczamy – ukaże się wkrótce nakładem Instytutu Filologii Klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego.

zabiegom Fulwii, chełpił się, że triumf swój odbył podobnie jak Mariusz w kalendy styczniowe, w dzień objęcia konsulatu, i że triumf jego był świetniejszy od triumfu samego Mariusza, gdyż każda *tribus* ofiarowała mu wieniec (stało się to za sprawą Fulwii i drogą przekupstwa). Dziwne jest ludzkie zaślepienie!

Z początku stosunki moje z Fulwią i Lucjuszem Antoniuszem były poprawne. Niebawem jednak zaczęły się pierwsze nieporozumienia. Wiadomo przecież, że ten, kto kieruje osadnictwem wojskowym, zjednuje sobie serca żołnierzy. Wobec tego podburzony przez Fulwię Antoniusz żądał ode mnie, żebym mu powierzył osadnictwo tych żołnierzy, którzy służyli pod rozkazami jego brata. Wprawdzie według układów z Markiem ja sam miałem przeprowadzać osadnictwo, jednak nie chcąc popadać w konflikt z Fulwią i Lucjuszem zgodziłem się tęściom dać to, czego się ode mnie domagali. Wkrótce się jednak okazało, że sprawa przeprowadzenia osadnictwa – lękałem się tego już w Brundyzjum – jest sprawą niezwykle ciężką. Miałem osiedlić około 170 000 żołnierzy w szesnastu miastach italskich, tak jak to postanowiliśmy z Markiem Antoniuszem, i wysiedlić miejscową ludność. Oczywiście wysiedleni, którym zabrano wszystkie nieruchomości – domy, bydło i niewolników, stawiali rozpaczliwy opór. W miastach przeznaczonych na osiedlenie żołnierzy dochodziło niejednokrotnie do formalnych bitew, z których jako silniejsi i dobrze zaprawieni w bojach żołnierze wychodzili zwycięsko. Zrozpaczona ludność napływała masowo do Rzymu i wywoływała ferment. Dołączała się do tego kiepska sytuacja aprowizacyjna, gdyż Sekstus Pompejusz dzierżący Sycylię odcinał dowóz zboża. Zawiązała się też opozycja przeciwko mnie wśród senatorów i ekwitów, których posiadłości również miały być oddane żołnierzom. Myślałem o jakimś kompromisie. Ale jakż może być kompromis między tymi, którzy chcą dostać ziemię, a tymi, których się wysiedla? Żeby nie zrażać sobie senatorów, ogłosiłem, że dobra senatorów mają być wolne od osadnictwa wojskowego. Prócz tego wolnymi od osadnictwa ogłosiłem dobra otrzymane przez kobietę w posagu i małe posiadłości nienadające się do osadnictwa.

Tymi zarządzeniami nie zyskałem sobie jednak wielkiej sympatii senatorów, natomiast naraziłem się na gniew żołnierstwa. Doszło do tego, że żołnierze zabijali wiernych mi centurionów, a i ja sam znalazłem się niejednokrotnie w niebezpieczeństwie. Napięcie między żołnierzami a cywilną ludnością dochodziło do szczytu. Raz podczas igrzysk jakiś prosty żołnierz – byli oni zupełnie rozzuchwaleni – usiadł w jednym z czternastu rzędów przeznaczonych dla ekwitów. Udawałem, że tego nie widzę, publiczność jednak protestowała. Dałem więc woźnemu polecenie usunięcia żołnierza. Ale od razu rozeszła się pogłoska (oczywiście fałszywa), że skazałem tego żołnierza na śmierć. Nadbiegło oburzone żołnierstwo. Ocaliło mnie od śmierci tylko to, że nagle pojawił się ów żołnierz cały i zdrowy. Innym razem spóźniłem się na Pole Marsowe, gdzie miałem dokonać nowego podziału gruntów. Żołnierze czekali na mnie już w nocy. Kiedy się nie zjawiłem, centurion Noniusz – pamiętam dobrze to nazwisko – zapewniał żołnierzy, że zatrzymała mnie w domu choroba. Żołnierze zaczęli ciskać kamieniami w centuriona, a gdy ten rzucił się do Tybru, wyciągnęli go z rzeki, zabili, a zwłoki rzucili na drogę, którą miałem przyjść na Pole Marsowe. Widząc zwłoki centuriona musiałem zachować zimną krew. Zlekceważyłem sprawę i zapewniłem żołnierzy, że na pewno zrobiła to jakaś garstka, i przystąpiłem do rozdzielania gruntów. Żołnierze, dobrze

przeze mnie obdzielani, poczuli żal i gotowi byli wydać mi przywódców tego małego buntu. Oświadczyłem im, że wystarczy mi ich przyznanie się do winy i że zostawiam im samym sąd nad prowodyrami. O tym, że dobrze postąpiłem, świadczyły okrzyki na moją cześć. Na ogół jednak rzecz biorąc, żołnierze nie byli mi wcale specjalnie wdzięczni; uważali, że otrzymują to, co im przyobiecano i co się im należy. Natomiast oburzenie wysiedlonych przeciwko mnie było ogromne. Z tego oburzenia mogłem sobie oczywiście nic nie robić, gdyby nie fakt, że oburzenie to, które wciąż wzrastało, wykorzystali przeciwko mnie Fulwia i Lucjusz Antoniusz. Głosili oni, że żołnierze należy wynagrodzić posiadłościami skonfiskowanymi tym, którzy przeciw nim prowadzili wojnę, a powstrzymać się od wysiedleń. W rezultacie wysiedleni znaleźli swych opiekunów w Fulwii i Lucjuszu Antoniuszu, którzy zaczęli gromadzić wojsko przeciwko mnie i ogłosili się obrońcami wolności. Na próżno posłałem do Marka Antoniusza powołując się na układ z nim; odpowiedzi żadnej nie otrzymałem. Co prawda nie dał on żadnej odpowiedzi także Fulwii i bratu, który wciąż się na niego powoływał obiecując, że, kiedy wróci, to złoży nadzwyczajną władzę triumwira. Werbowiałem więc wojsko i oni też werbowali. Za wszelką cenę chciałem jednak uniknąć wojny. Posyłałem więc do nich rozmaitych pośredników. Ale oni brali to za oznaki mojej słabości. Udało się im też istotnie przeciągnąć na swoją stronę ogromną liczbę wysiedlonych, ponadto senatorów i ekwitów wraz z nimi. Fulwia zajęła Praeneste, przypasała miecz i hasło dawała żołnierzom. Trudno mi ustalić motywy, jakimi kierowała się dążąc do wywołania wojny domowej. Przede wszystkim, jak sądzę, kierowała się niepokohamowaną żądzą władzy; ale być może jest prawdą także to, co opowiadali niektórzy, że przez wywołanie wojny chciała ściągnąć do Italii swojego męża Marka pogrążonego w miłości do Kleopatry. Być może również, że zła była na mnie, że nie chciałem ulec jej „urokowi” i że wolałem, jeśli już trzeba, być jej zięciem niż kochankiem. Ale wojny nie życzyli sobie ani moi oficerowie, ani oficerowie strony przeciwnej. Postanowili więc sami spór rozstrzygnąć. Do pierwszego spotkania doszło w Teanum, a do drugiego miało dojść w Gabii, gdzie nawet ustawiono dwie mównice dla mnie i dla Lucjusza Antoniusza. Wojsko oświadczyło, że tam rozstrzygnie spór i stanie przeciw temu, kto w złośliwy sposób będzie chciał pokój naruszyć. Zjawiłem się więc w Gabii na ów sąd wiedząc, że sprawiedliwość jest po mojej stronie, i dałem żołnierzom do odczytania tekst mojego układu z Markiem Antoniuszem, który przechowywałem u westalek w Rzymie. Lucjusz Antoniusz nie zjawił się w Gabii. Żołnierze przyznali mi rację.

W ten sposób mimo wszystkich moich usiłowań doszło do tej nieszczęsnej wojny, w której, żeby się skrótkowo wyrazić, żołnierze byli ze mną, ludność cywilna, wysiedleni i bojący się wysiedlenia, senatorowie i ekwici przeciwko mnie. Z chwilą wybuchu wojny żonę swoją Klaudię odesłałem matce jej Fulwii z uroczystą przysięgą, że jest dotychczas dziewicą (co było prawdą). Chciałem przez to podkreślić, że wojnę toczę przede wszystkim z Fulwią, która podżęgała Lucjusza Antoniusza. Byłem z tego bardzo zadowolony. Jakąż żoną mogła być córka awanturnika Klodiusza i awanturnicy Fulwii? Tymczasem Lucjusz Antoniusz korzystając z tego, że oblegałem Sentinum, zjawił się w Rzymie, zwołał zgromadzenie ludowe i ogłosił mnie i Lepidusa nieprzyjaciółmi. Zgromadzeni wyrazili ogromną radość, że oto nareszcie Italia pozbędzie się triumwirów; Antoniusz zapewniał zebranych, że także Marek,

gdy wróci, złoży godność triumwira, że zostanie przywrócona po siedmiu latach władza konsulów i odżyje Rzeczpospolita. Gdy się o tym dowiedziałem, ruszyłem od razu spod Sentinum na Rzym; Antoniusz na wieść o tym opuścił stolicę i zdążył na północ do Galii. Jednakże legaci moi Agryppa i Salwidienuś zamknęli mu drogę i zmusili do zamknięcia się w Peruzji.

Oczywiście nie zamierzałem szturmem brać tego miasta położonego na wzgórzu i z natury obronnego, lecz zmusić głodem do poddania się. Otoczyłem więc Peruzję szaniami. Lucjusz Antoniusz i Fulwia spodziewali się odsieczy ze strony legatów Marka Antoniusza stojących z wojskiem w Galii, a mianowicie Azyniusza Polliona, Munacjusza Planka i Wentydysza. Istotnie na wezwanie Fulwii wkroczyli oni na teren Italii i raz nawet zbliżyli się do Peruzji, nie byli jednak zdecydowani na podjęcie rozstrzygającej walki ze mną i w końcu się wycofali. Tymczasem w mieście szalał głód. Wobec tego Lucjusz Antoniusz zdecydował się na wypady z miasta i przełamanie blokady. Trzeba przyznać, że wojsko jego walczyło dzielnie, chociaż tylko w stosunkowo małej części składało się z zawodowego żołnierza. Pamiętam taki szalony wypad w nocy przed Nowym Rokiem (= 40 r. p.n.e); nieprzyjaciel był przekonany, że świętować będziemy kalendy styczniowe i że uda mu się przebić przez nasze szanice, ale się pomylił. Odparłem ich z moimi pretorianami zadając im wielkie straty. Pamiętam także inny wypad, przy którym omal nie straciłem życia. Składałem wówczas ofiarę ze zwierząt ofiarnych w obozie; ponieważ wypadła ona niepomyślnie, poleciłem powiększyć liczbę zwierząt. Wówczas to nieprzyjaciele – byli to gladiatorzy, którzy w wojsku Antoniusza bili się najdzielniej – wpadli do mojego obozu i zabrali ze sobą zarówno zwierzęta ofiarne, jak i cały sprzęt ofiarny. Ale zło obróciło się na moją korzyść: wróżbici orzekli, że niebezpieczeństwa i nieszczęścia, jakie zapowiedziane zostały składającemu ofiarę, spadną na tych właśnie, którzy teraz weszli w posiadanie wnętrzości zwierząt ofiarnych. Tak się też stało. Wszystkie wypadki nieprzyjaciela kończyły się jego niepowodzeniem. W końcu głód zmusił Antoniusza do bezwarunkowej kapitulacji. Nie chciałem go upokarzać, był przecież bratem Marka, z którym chciałem zachować jak najlepsze stosunki. Kiedy więc nadchodził do mego obozu bez herolda i z nielicznym orszakiem, wyszedłem mu naprzeciw aż do rowu, który otaczał mój obóz. Lucjusz całą winę wojny wziął na siebie i prosił o łaskę dla towarzyszy broni. Ta bezwarunkowa kapitulacja i zdanie się na moją łaskę rozbroiły mnie zupełnie. Lucjuszowi zagwarantowałem wolny powrót do brata, ale on nie wiedząc, jak go Marek przyjmie, wołał objąć z mojego ramienia namiestnictwo Hiszpanii. Tak się też stało. Mało było chyba w historii tak wspaniałomyślnych zwycięzców, jakim ja wówczas się okazałem. Postąpiłem tak jak mój ojciec pod Korfinium, który wypuścił z oblężonego przez siebie miasta swych przeciwników. Sądzę, że było to postępowanie zarówno wspaniałomyślne, jak i mądre ze względu na mój stosunek do Marka. Zresztą dodałem mu, żeby go pilnowali, ludzi mi oddanych – Peduceusza i innych. Również Fulwii pozwoliłem wrócić do męża. Na drugi dzień legiony Antoniusza wyszły z bronią z miasta i ustawiły się tak, jak im kazali moi oficerowie. Kapitulację wojska przyjąłem siedząc na trybunie w wieńcu laurowym na głowie. Kazałem pokonanym broń złożyć i oświadczyłem im, że na prośbę mojego wojska zostają ułaskawieni. Było to zresztą prawdą; żołnierze moi wstawiali się za swoimi kolegami i po prostu wymusili na mnie to ułaskawienie. Dopiero wtedy zjawił się Lucjusz Antoniusz w otoczeniu swych oficerów i rozmaitych znakomitych Rzymian,

którzy się koło niego zgromadzili. Tak więc wojsku przeciwnika i jego oficerom nic się nie stało; natomiast za trudy poniesione w kampanii należała się jakaś nagroda moim żołnierzom. Nagrodą tą było samo miasto, które musiałem im oddać na splądrowanie. Co prawda niewiele na tym skorzystali. Jakiś wariat na wieść o kapitulacji podpalił swój dom i rzucił się w płomienie. Od tego ognia zajęło się całe miasto. Mieszkańcom nic się nie stało złego; jedynie trzystu najwybitniejszych obywateli kazałem stracić, mszcząc śmierć mojego ojca. Legiony, które służyły pod Antoniuszem, rozkwaterowałem po różnych miastach włoskich. Sam wracałem do stolicy, w której panował nastrój wielkiej radości z powodu końca wojny. Do miasta wprowadzono mnie w stroju triumfalnym i uczczono wieńcem laurowym.

Dnia osiemnastego przed kalendami lutowymi
(= 15 stycznia)

Siedzę u siebie na górcie, czyli w tak zwanych „Syrakuzach”, i przeglądam to, co napisałem przedwczoraj. Myślę, że ludziom dzisiejszym trudno uwierzyć w to, że przed pięćdziesięciu laty żołnierze mogli zabijać swych centurionów, wzniecać bunt i wymuszać decyzje na swych wodzach. Dzisiaj, kiedy uporządkowałem wojsko i narzuciłem mu ostrą dyscyplinę, trudno zaiste uwierzyć, że mogły się zdarzać takie wypadki, jakie opisałem przedwczoraj. A jednak zdarzały się one, i to bardzo często. Były to bowiem zupełnie inne czasy. Wojsko było co prawda uzależnione od wodzów, którzy jedynie mogli mu zagwarantować nagrody po zwycięstwie, z drugiej strony jednak my, wodzowie, byliśmy uzależnieni od wojska. Obiecywaliśmy im czasem bardzo dużo, a kiedy nie mogliśmy, choćby chwilowo, spełnić obietnic, powstawał bunt. Trzeba było mieć zaiste dużo zimnej krwi i znajomości psychologii żołnierskiej, by z tych konfliktów wychodzić zwycięsko.

Mistrzem na tym polu był mój ojciec – boski Juliusz. Kiedy – a było to przed wyprawą afrykańską – żołnierze tłumnie zgromadzeni na Polu Marsowym buntowali się, mój ojciec zjawił się niespodziewanie i zapytał, czego sobie życzą. Żołnierze z początku byli zakłopotani i jakoś w jego obecności nie ośmielili się wspomnieć otwarcie o nagrodach, wysunęli natomiast skromniejsze żądanie i z krzykiem domagali się zwolnienia sądząc, że mój ojciec potrzebuje wojsk i wspomni też o nagrodach. Wówczas mój ojciec wbrew oczekiwaniu odpowiedział:

– Zwalniam was i wypłacę wam wszystko, co wam obiecałem, a triumf odbędę z innymi.

Żołnierzy ogarnął wstyd. Milczeli, a mój ojciec także milczał. Wreszcie na usilne prośby przemówił, zaczynając swoje przemówienie nie tak, jak było w zwyczaju, wyrazem „towarzysze broni”, lecz wyrazem „Kwiryci”, co wskazywało na to, że nie uważa ich już za żołnierzy, lecz zwykłych obywateli zwolnionych ze służby wojskowej. Tego już nie mogli ścierpieć żołnierze i prosili, żeby im było wolno dalej służyć pod jego rozkazami, ale mój ojciec odwrócił się i zaczął schodzić z mównicy. Żołnierze nastawali nadal. Mój ojciec udał wówczas niezdecydowanie – aktorem był pierwszorzędny – i w końcu oświadczył, że nikogo nie będzie karać, ale że boli go, że nawet dziesiąty legion, który tak wysoko cenił, brał udział w zaburzeniach.

– Toteż – powiedział – zwalniam ze służby; mimo to i jemu wypłacę wszystko, co obiecałem, gdy wrócę z Afryki.

W końcu jednak pojednał się również i z tym legionem i odniósł pełny triumf nad zbuntowanymi.

Tak też i ja wstępując w jego ślady starałem się zawsze zachować zimną krew i zawsze w końcu wychodziłem zwycięsko. Ostatni bunt, jaki przeżyłem, miał miejsce przed czterdziestu kilku laty po pokonaniu Antoniusza i Kleopatry pod Akcjum. Byłem zmuszony wrócić do Brundygium, by go uśmierzyć w sposób pokojowy – i dając nowe obietnice żołnierzom. Ale o tym buncie opowiem może kiedy indziej. To, że od tego czasu nie było żadnego buntu wojskowego, jest wyłącznie moją zasługą. Ja bowiem pierwszy po wielu latach uregulowałem w sposób rozsądny sprawy wojska i sprawiłem, że jest ono dzisiaj silną podporą imperium, a nie zarzewiem buntów. Jednym z pierwszych zadań, jakie stanęły przede mną po zwycięstwie nad Kleopatą, była sprawa zredukowania wojska. Pod Akcjum walczyło pięćdziesiąt legionów; obecnie jest ich tylko dwadzieścia pięć. Jest to liczba może za mała, ale na większą armię nas po prostu nie stać ze względów finansowych. Rozlokowałem je w taki sposób, że najwięcej ich stoi w najbardziej zagrożonych prowincjach. I tak osiem legionów, czyli jedna trzecia całej armii, stoi w obu Germaniach, Górnej i Dolnej; w Syrii stoją cztery legiony; w Pannonii i w Hiszpanii po trzy; w Mezji i Dalmacji po dwa; w Afryce tylko jeden. Niektóre z nich, jak na przykład Alaudae, mają tę samą nazwę, jaką miały za mojego ojca, niektóre noszą moje imię – Augusta. Jest rzeczą niezwykle ważną, żeby legiony przywiązane były do swych nazw; nazwa obowiązuje. Dlatego też słusznie postąpił ongiś mój zięć Agryppa, kiedy podczas kampanii hiszpańskiej odebrał za karę legionowi noszącemu moje imię – Augusta – zaszczyt posługiwania się tą nazwą. Żeby zaznaczyć, że stosunki się zmieniły, nigdy przemawiając do wojska nie zaczynałem przemowy od „Towarzysze broni!”; mówiłem po prostu „Żołnierze!”. Żołnierze składają przysięgę mnie jako wodzowi naczelnemu. Nie jest to co prawda nowością w stosunku do dawniejszych czasów: i dawniej także wojsko składało przysięgę imperatorowi. Różnica istotna jednak polega na tym, że obecnie jedynie ja jestem wodzem naczelnym, i to na stałe, podczas gdy dawniej rola wodza naczelnego kończyła się w momencie zakończenia wyprawy. Ja jeden mam prawo poboru rekruta i prowadzenia wojny; legiony stoją też na podstawie porozumienia, które ongiś zawarłem z senatem, jedynie w moich prowincjach. W żadnej prowincji należącej do senatu nie wolno nikomu gromadzić wojska ani prowadzić wojny na własną rękę. Swoją drogą nie wszyscy od razu to zrozumieli: chyba już pięć lat stałem na czele Rzeczypospolitej, kiedy namiestnik Macedonii, jakiś Marek Primus, rozpoczął na własną rękę wojnę z Odrydami, a później bronił się, że czynił to z mojego albo zięcia mojego, Marcellusa, upoważnienia. Zirytowało mnie to kłamstwo i zjawiłem się w sądzie, by zadać kłam Primusowi. Z kolei fakt, że przybyłem do sądu niewezwany, doprowadził do furii obrońcę, Licyniusza Murenę – będą jeszcze o nim pisać – który zawołał do mnie:

– Co tu robisz? Kto cię wzywał?

Odpowiedziałem na to dwoma słowami:

– Dobro Rzeczypospolitej.

Sprawa musiała być raz na zawsze jasna: namiestnikom prowincji tak zwanych senatorskich nie wolno przeprowadzać poboru rekruta ani prowadzić wojny. Oczy-

wistą jest rzeczą, że wszystkich nominacji i awansów w wojsku – zarówno legatów stojących na czele legionów i trybunów wojskowych, jak i centurionów – dokonują ja sam. Ode mnie zawisłe jest również nadawanie odznaczeń. Nie jest to zresztą rzecz taka prosta, jeśli się nie chce ich znaczenia zdewaluować. Dlatego też bardzo chętnie nadaję medaliony i naszyjniki ze złota i srebra, ale bardzo poważnie zastanawiam się przy nadawaniu wieńca wałowego czy murowego, przysługującego jedynie tym żołnierzom, którzy pierwsi wdarli się na wały czy mur nieprzyjacielski. Ale nadaję je nawet prostym żołnierzom, o ile na nie zasłużyli. Przede wszystkim jednak wprowadziłem z powrotem karność i dyscyplinę w wojsku. Przywróciłem dawny zwyczaj marszów ćwiczebnych zarówno dla piechoty, jak i jazdy. Rozkazałem piechotę wyprowadzać trzy razy w miesiącu z obozu, by odbywała marsz w pełnym rynsztunku na odległość dziesięciu tysięcy kroków od obozu, tam i z powrotem. Część drogi musi ona odbywać biegiem. Również konnica ma przebyć trzy razy w miesiącu taką samą przestrzeń. Marsz jej połączony jest ze specjalnym manewrem, który polega na tym, że jeden oddział jazdy ściga drugi i wyprzedza go, a ten z kolei znów go dogania i nadrabia stracony dystans. Najważniejsze jest jednak, że marsze odbywają się zarówno na równym terenie, jak też i w okolicy górskiej, raz w dół, raz w górę. W ten sposób wojsko nabywa wprawy i żaden przeciwnik i żadna przeszkoda nie jest mu groźna i nie zmusi go do odwrotu. Za opuszczenie posterunku grozi zarówno prostemu żołnierzowi, jak i centurionom kara śmierci. Niejednokrotnie też niestety byłem zmuszony dziesiątkować kohorty za niedotrzymanie placu w bitwie. Są także i lżejsze kary, ale hańbiące, jak na przykład stanie przez cały dzień przed namiotem wodza tylko w tunice i bez pasa, czasem z tyką dziesięciostopową lub nawet z garścią darni w ręce. W ten sposób doprowadziłem do przywrócenia starodawnej rzymskiej dyscypliny, która nam dała panowanie nad światem.

Przestrzegałem zasady, że w legionach służą jedynie obywatele rzymscy. Godność obywatela rzymskiego stawiałem zawsze ponad wszystko i niechętnie udzielałem obywatelstwa rzymskiego byle komu. Pamiętam, jak raz żona moja Liwia wstawiała się za jakimś Galem i prosiła mnie o przyznanie mu obywatelstwa. Odpowiedziałem, że wolę uwolnić go od podatków niż przyznać obywatelstwo. Niestety dwa razy w ostatnich latach musiałem wyjątkowo odstąpić do pewnego stopnia od zasady, że w legionach służą jedynie obywatele. Było to raz w iliryjskiej, drugi raz w germańskiej potrzebie. Ponieważ brak było obywateli chętnych do służby wojskowej, kazałem właścicielom dostarczyć silnych niewolników i po okresie rekrucimk wyzwoliwszy ich przydzieliłem ich do pierwszej linii bojowej, ale pod osobnym sztandarem i dając im odmienne uzbrojenie. Były to tak zwane kohorty „ochotnicze”, złożone z wyzwolenców. Obym nie musiał jeszcze kiedy uciekać się do takiej ostateczności! Inaczej jest oczywiście w tak zwanych wojskach posiłkowych, które rekrutuje się spośród najbardziej dzielnych plemion. Jakże świetną jest na przykład jazda galijska albo batawska! O to, żeby stworzyć równie świetną jazdę rzymską, walczyłem niestety bezskutecznie przez całe życie. Ale o tym powiem kiedy indziej.

Jednym z najważniejszych problemów, który, jak sądzę, udało mi się szczęśliwie rozwiązać, była kwestia uposażenia wojska i czas służby wojskowej. Żołd, jaki obecnie wojsko otrzymuje, jest w moim pojęciu najzupełniej wystarczający. Prosty

żołnierz otrzymuje 225 denarów rocznie, centurion 375 denarów, *centurio primi pili* 750 denarów (żołnierz kohort pretorskich, o których kiedy indziej powiem, jest – co jest rzeczą normalną – uprzywilejowany i pobiera aż 750 denarów, a więc tyle co centurion *primi pili*). Odprawa po wysłużeniu lat, jaką każdy żołnierz dostaje, wynosi 300 000 denarów w gotówce lub równoważną posiadłość ziemską. Największy trud sprawiło mi ustalenie czasu trwania służby wojskowej. Kiedy za konsulatu Tyberiusza i Kwintyliusza Warusa (= 13 r.) wróciłem do Rzymu, ustaliłem, że żołnierz winien służyć lat szesnaście. Niestety później z powodu braku nowego rekruta zmuszony byłem zwiększyć czas służby wojskowej do lat dwudziestu, a nawet dwudziestu pięciu, a wreszcie do lat trzydziestu, a nawet czterdziestu. Ale żołnierze w ogóle nie szemrzą, odprawa 300 000 denarów jest zbyt ponętą. Skąd jednak miałem wziąć pieniądze na te odprawy? Przecież rokrocznie odchodziło z wojska około dwóch do trzech tysięcy ludzi. Sprawę należało w końcu załatwić definitywnie. Wobec tego przed siedmiu laty zdecydowałem się – za konsulatu Emiliusza Lepidusa i Lucjusza Arruncjusza (= r. 6) – na stworzenie osobnego skarbu wojskowego. Sam z własnej szkatuły wpłaciłem do tego skarbu kwotę 17 milionów sesterców. Poza tym wprowadziłem na rzecz skarbu wojskowego podatek pięcioprocentowy od spadków i jedno-procentowy od aktów kupna-sprzedaży; całkiem poważną kwotę wpłacają również, chociaż niezmuszeni, zawiśli od nas królowie cudzoziemscy i niektóre ludy. Pieczę nad skarbem powierzałem trzem wybranym losem byłym pretorom zawsze na okres trzyletni. W ten sposób ja pierwszy w naszej Rzeczypospolitej uregulowałem w sposób systematyczny sprawę wojska. Wprowadziłem dyscyplinę starorzymską, uregulowałem sprawy żołdu i odprawy. Nawiasem dodam, że w tym samym roku wprowadziłem straż pożarną – wigilów, zorganizowanych w kohorty. Zrazu zajmowali się gaszeniem pożarów, obecnie zaś zmilitaryzowani pilnują porządku w mieście w nocy. O kohortach pretorskich opowiem innym razem. Obecnie chodziło mi przede wszystkim o to, by pokazać, jaka samowola panowała w wojsku podczas wojen domowych, a jaki porządek panuje obecnie dzięki moim zarządzeniom. Poza tym przygotowałem wojsko do wykonywania rozmaitych robót publicznych. To przecież żołnierze moi budowali cysterny w Egipcie, moi też żołnierze odnaleźli wspaniałe źródło Virgo w okolicach Rzymu, które w tak świetną wodę zaopatruje stolicę. Nazwę Virgo zaś źródło to nosi, dlatego że drogę do niego pokazała żołnierzom jakaś dziewczyna. Ale jak na dzisiaj już dosyć się rozpisalem. Czas kończyć.

Wydała z autografu Anna Zawalska

ARGUMENTUM

Duo capitula ad finem non perducto opere clarissimi Poloni antiquitatis scrutatoris desumpta, quibus praemittitur Iulii Domański brevis praefatio de operis origine tractans.